

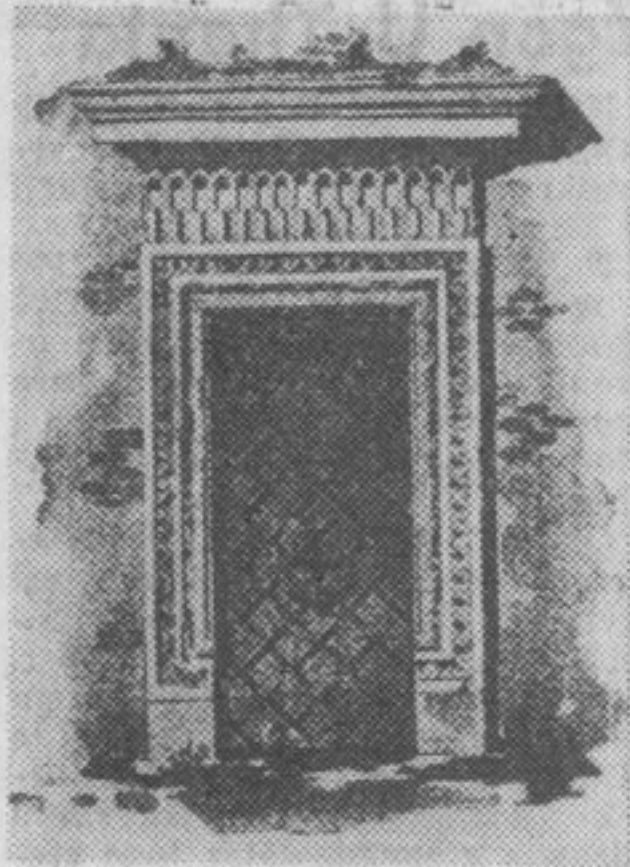
MARZENIE I ZMĘCZENIE

W YCIAGNAŁEM z moich „archiwalnych zbiorów” dokument bardzo dla mnie miły i cenny — dyplom „Złota kielnia” — „za udział w dziele odbudowy zabytkowego zameczku w Korzkwi pod Krakowem”, oraz list komitetu do badań i zabezpieczenia zamku w Korzkwi oddziału krakowskiego PTTK, podpisany przez przewodniczącego doc. dr. hab. J. Małeckiego i sekretarza A. Mańkowską. W liście tym zawarty jest m. in. następujący passus:

„Pragniemy... serdecznie podziękować za... cenny dla nas artykuł propagujący nasze prace społeczne, prowadzone na zamku w Korzkwi. Wszelkie wiadomości o Korzkwi ukazujące się na łamach prasy ułatwiają nam trudną działalność, jaką prowadzimy już od trzech lat...”

List nosi datę 10 września 1970 r. i jest reakcją na felieton z niniejszego cyklu, zatytułowany „Jednak życie”, poświęcony właśnie zamkowi w Korzkwi, a ściślej akcji, podjętej przez dr Jerzego Małeckiego z Krakowa. Akcja ta miała na celu zmobilizowanie sił, przede wszystkim społecznych, do wspólnego wysiłku, zmierzającego ku odbudowie i oddanie w służbę kultury i turystyki zameczku w Korzkwi pod Krakowem, położonym u wrót sławnej z piękności doliny Prądnika.

Przypomnijmy w skrócie dzieje zameczku, czy też raczej dworu obronnego, budowlę o wielkich walorach architektonicznych. Okres jej budowy przypada na XVI w. Położony na wzniesieniu zwanym Korzkwią, zameczek ten nie miał być — wedle założeń jego twórców — warownią o znaczeniu militarnym. Miał to być raczej dwór obronny, stanowiący bezpieczne schronienie nie tyle przed regularnym wojskiem, ile przed ewntualnymi bandami rabusiów, których w tamtych stro-



Drzwi wejściowe zameczku.

nach przecież nie brakowało. Walory obronne zameczku polegały nie tylko na otaczających go murach i na położeniu na skalistym cyplu, ale i na oblewającej go rzeczce, stanowiącej z trzech stron naturalną fosę.

Tradycje Korzkwi są zresztą wcześniejsze, niż okres budowy tego zameczku. O Korzkwi wspomniiał Długosz, jako o miejscowości należącej do rycerzy Hanki i Wojewódki herbu Ostoja. Przypisywano niekiedy budowę tego zameczku rodzinie Jordanów — wojewodzie bractwowskiemu Michałowi Jordanowi; inne źródła podają, iż Jordanowie odbudowywali Korzkiew po zniszczeniach w czasie Wojny Północnej. Długosz zaś wspomina o Janie Syrokomli z Białego Kościoła, który od majątności Korzkiew przybrał nazwisko Korzekwicki i — być może — był właścicielem i założycielem Korzkwi.

W każdym razie w dziejach Korzkwi rodzina Jordanów odgrywała rolę pierwszoplanową. Tutaj w Korzkwi podejmowali nawet Augusta III Sasa, dla którego zorganizowano w tej okolicy wielkie łowy, widocznie udane, skoro król zapłacił za nie gospodarzowi orderem Orła Białego.

Później Korzkiew, drogą skomplikowanych posunięć prawnych, przeszła w ręce antagonyistów Jordanów — Wielopol- skich, po czym aż do początku

w. XIX należała do Wessłów; później właściciele zmieniali się często, co nie przyczyniało się do zbyt pieczołowitego utrzymania zameczku, który niszczał z dziesięciolecia na dziesięciolecie, by wreszcie dojść do takiego stanu w jakim przejęli go krakowscy społecznicy. Przejęli i zaczęli robotę w dobrym tempie, nie oszczędzając wysiłku. Rozpoczęły się te prace w r. 1968...

W październiku roku bieżącego ukazał się w krakowskim „Dzienniku Polskim” artykuł Moniki Wysogład pt. „Mierzyć siły na zamiary”. Relacja o Korzkwi, zawarta w tym artykule brzmi pesymistycznie:

„Wrażenia są raczej niewesołe. Widać, że zabytek był kiedyś odbudowywany... Dzisiaj resztki cegieł podpierają smętnie cześć obronnych murów, piękna renesansowa brama jest całkiem niewidoczna pod „zabezpieczającymi” ją deskami. Wchodzimy na dziedzińcyk przez zamontowaną w wyrwie muru żelazną furkę, zamykaną na kłódkę, chroniącą zameczek przed niepożądanymi gośćmi... W głębi zameczku jeszcze jedna olbrzymia sala. Jest niewykończona. Nad nią drewniany strop z luźno pozbijanych desek... Opiekunka jest wyraźnie przejęta. Odpowiada jak to z początku przy zamku pracowali za darmo działacze PTTK, studenci i miejscowi. A teraz? Kobieta wzrusza ramionami. Ręką wykonuje gest wyrażający bezradność. Nie się przy zamku nie dzieje. Tylko od czasu do czasu przyjeżdżają z Krakowa różni panowie i radza. Ale skutków tych obrad jakoś nie widać...”

I tak społeczna inicjatywa utknęła, włożona praca, praca



Brama wjazdowa.

nieprzymuszona, poszła na marne, dzieło zaczęte nie zostało ukończzone, prace zamaryły dwa lata temu.

„Od dwóch lat marnują się efekty zapalu krakowskiego zarządu oddziału miejskiego PTTK i dra Małeckiego. Zresztą docent wycofał się z całego przedsięwzięcia — w marzeniach widział odbudowany cały zameczek łącznie z „pięterkiem i dachem”.

Nawarstwilo się w toku realizacji tych zamierzeń mnóstwo kłopotów, które odstręczają od kontynuowania dzieła, refleksje nasunęły się poniewczasie, gdy prace już zaawansowano i gdy dały one już niejaki efekty. Pi-sze p. Monika Wysogład:

„Prezes krakowskiego zarządu oddziału miejskiego PTTK jest już Korzkwią zmęczony. I zadaje sobie pytanie, po jakie licho PTTK „ubrało” się w całą tę sprawę. Zysków korzkiewski zameczek nie przyniesie. Wreć odwrotnie, trzeba będzie natomiast ustawicznie wkładać pieniądze w jego konserwację...”

Ano, piękna perspektywa. Nie będzie pieniędzy, będą tylko same kłopoty z tym utrapionym obiektem zabytkowym, który w efekcie wcześniej czy później nie tylko nie pozostanie ruiną w stanie obecnym, ale wróci do stanu poprzedniego.

Publicystka „Dziennika” nie widzi wyjścia z tej sytuacji. Być może podchodzi do sprawy Korzkwi, zbyt emocjonalnie z uwagi właśnie na ową wspomnianą na początku „Złota kielnię”, wydaje mi się jednak, iż w żadnym wypadku nie można zostawić tej sprawy.

Skoro roboty zaczęto, skoro włożono w nie tyle wysiłku i tyle społecznej pasji — to tego kapitału zmarnować nie wolno, zarówno z uwagi na zabytkową wartość obiektu, jak i ze względu na racje pedagogiczne. Piękne i realne w końcu marzenia docenta Małeckiego powinny być zrealizowane. Choćby dla pokazania, iż taka pasja i taka inicjatywa dają jednak owoce, co w atmosferze lekceważenia zabytkowych obiektów przez licznych użytkowników i wiele organów władz lokalnych, nie jest do zlekceważenia. Koszty być muszą, a nie każdy uratowany zabytek musi procentować w formie czerpanych z niego dochodów. To nie zakład produkcyjny.

We wspomnianym Hście do redakcji „Zycia” jego autorzy pisali tak m. in. nawiązując do naszego felietonu:

„Artykuł ten, informujący społeczeństwo polskie o naszych pracach społecznych, zmierzających do uratowania od zagłady cennego zabytku architektury ułatwi nam pokonanie trudności jakie natrafiamy.”

Niestety, nie ułatwił! Przynajmniej do tej pory. (B. St.)
Rysunki z przewodnika „Nad Prądnikiem”, 1907 r.